

Dzieci morza wzywają swoją matkę

3/2024 Jacek Bartosiak

Wskutek polityki sankcyjnej rozpoczętej jeszcze za Trumpa oraz wojny na Ukrainie spełnia się koszmarny Halforda Mackindera – konsolidacja handlowa i komunikacyjna Eurazji z jej zasobami społecznej energii, ambicjami miliardów ludzi, z jej surowcami i przedsiębiorczością ludzi głodnych sukcesu. Ale też z jej tendencjami do dominacji polityki nad społeczeństwami i rynkami, ze skłonnością do kontroli i autorytaryzmu.

Na drodze tej konsolidacji staje amerykański hegemon oceanu światowego. Jak zawsze pewny siebie, zwycięzca wojen światowych i zimnej wojny zamykającej niemal cały wiek walki o dominację nad obszarem Atlantyku, wspomagany (choć jakoś niechętnie, a czasem ambiwalentnie – w tym tkwi też trudność dzisiejszej sytuacji światowej) przez „pierścień” swoich sojuszników w Rimlandzie Eurazji. Wśród nich znajduje się także i nasza droga ojczyzna, położona na samej granicy potęgi USA, w historycznej strefie zgniotu, gdzie potęga USA i geopolitycznego „morza” była, jest i będzie kwestionowana przez tych, którym nie podoba się Pax Americana.

Znani historycy: Niall Ferguson, Timothy Snyder, a nawet dawna sekretarz stanu USA Hilary Clinton podczas lutowej konferencji bezpieczeństwa w Monachium zgodnie oświadczyli, że mamy już wojnę światową. Że mocarstwa rewizjonistyczne nie zgadzają się na prymat amerykański i otwarcie go zwalczają, niszcząc świat, do którego się przyzwyczailiśmy przez ostatnich kilka dekad. Pomstując przy okazji na brak decyzyjności, brak jedności Zachodu, brak amunicji, brak mocy produkcyjnych amunicji, brak determinacji.

Szef polskiego MSZ Radosław Sikorski na tej samej sesji w Monachium zaapelował gromko do Amerykanów: pomóżcie, bo sami nie mamy rady, a jeśli nie pomożecie, będziemy hedgować, czyli osłabimy naszą wspólnotę interesów z wami, bo nie będziemy mieli wyboru, będziemy musieli stać się bardziej wielowektorowi. W domyśle my, Europejczycy (no bo nie Polacy; nasza waga jest zbyt mała do takich śmiałych działań, nam czas hedgowania minął około roku 2016, 2017; pisałem o tym wtedy), możemy zaprosić Chiny, by były gwarantem bezpieczeństwa Europy.

Tylko Pekin jest bowiem w stanie dyscyplinować Rosję ze względu na zależność Rosji od handlu z Chinami, no i Pekin jest zainteresowany pokojem w Europie, by móc utrzymać globalizację i handel z naszym kontynentem, oczywiście na zasadach współpracy coraz korzystniejszych dla Chin, to jasne. Skoro Amerykanie nie chcą, a Europa nie ma sił wojskowych ani adekwatnych zdolności nuklearnych, to co jej pozostaje, jeśli chce uniknąć szantażu i docelowej dominacji rosyjskiej...?

Nieustające apele Europy do Waszyngtonu o pomoc stały się do reszty nudne. Bez USA Europa nie jest, jak widać, w stanie sama pomóc Ukrainie, nawet w najprostszych sprawach. Europa Zachodnia szczyli się swoim poziomem życia obywateli i wskaźnikami PKB, ale wygląda na to, że statystyki PKB i rozmaite na pewno potrzebne nam tak bardzo w życiu usługi wydatnie wykazywane w bilansie gospodarczym nie walczą i trudno jest aplikować cyfry z tabelki PKB na pola walki nad Dnieprem i Donem.

Ministrowie europejscy odgrywając role w zenującym spektaklu obserwowanym przez setki milionów obywateli Unii Europejskiej, mają wyraźny problem z uzgodnieniem stanowiska w sprawie Ukrainy i wojny, która toczy się przecież w Europie, pomiędzy dwoma największymi terytorialnie krajami kontynentu. Do tego politycy amerykańscy zaczęli wycofywać się z chęci kontynuowania pomocy Ukrainie, a niektórzy, jak Donald Trump, zaczęli nawet grozić wycofaniem się z planów pomocy europejskim sojusznikom, w razie gdyby ci zostali zaatakowani przez Rosję – jeśli nie zdobędą się oni na budowanie własnych zdolności wojskowych.

Trudno nie dojść do przekonania, że jeśli za plecami polityków europejskich i ich gędzeniem o „wartościach” nie stoi materialna potęga Stanów Zjednoczonych, wsparta siłami zbrojnymi USA jako główną siłą manewrową świata (wraz amerykańskim parasolem nuklearnym), to politycy ci miękną i już nie czują tej „solidarności wartości”, o której tyle wygłosili przemów, kiedy ich to nic nie kosztowało. Ameryka na rozstaju powoduje rozpacz Europy pomimo wieloletniej gadaniny o „samodzielności strategicznej”. Gdy Amerykanie zaczynają kichać, Europa ma grypę; to stare porzekadło znane było w korytarzach kwatery głównej NATO już w czasach zimnej wojny.

Dla wielu ludzi, którzy uwierzyli, że polityką międzynarodową rządzi „wartości”, to, co obecnie dzieje się w świecie, musi być szokujące. Przeżywają co najmniej dysonans poznawczy, jeśli nie załamanie światopoglądu.

Tymczasem przed nami kilkanaście lat chaosu, wojen, świata sankcji i embarg, niedoborów i wahań cen, braku równowagi i stabilizacji w systemie międzynarodowym. System światowy musi podczas tego przesilenia znaleźć nową równowagę. Uzyska ją wraz z zakończeniem rozpoczętej wojny światowej, po tym gdy rozegra się ona w rozlicznych domenach aktywności i produktywności człowieka: handlowej, technologicznej, propagandowej, cywilizacyjnej, surowcowej, wojskowej, na morzu, w powietrzu, na lądzie i w kosmosie, w sieciach internetowych, w systemach bankowych, na naszych kontach i w bazach danych, w fabrykach broni, fabach półprzewodników i w laboratoriach.

Oczywiście na polach bitew też, nader często w miejscach, gdzie koncentrują się przepływy strategiczne świata, czyli tam, gdzie jest duża potrzeba kontroli zachodzącego tam ruchu i jego zasad. Trwa wojna na Ukrainie, na Morzu Czerwonym i na Bliskim Wschodzie. Lada chwila załamać się może odstraszenie na wschodniej flance NATO, coraz bardziej nieunikniony wydaje się konflikt wojenny na zachodnim Pacyfiku; może on wybuchnąć nawet na wiosnę 2025 roku, zaraz po listopadowych wyborach prezydenckich w USA...

Superkontynent eurazjatycki naciska na strefę brzegową Eurazji i nie chce już więcej uznawać zasad, na jakich świat działał przez ostatnich kilka dekad globalizacji. Położone w tej strefie państwa sojusznicze USA – „dzieci morza” – są zależne od amerykańskiego świata instytucjonalnego oraz

architektury bezpieczeństwa, którą Amerykanie utrzymują dzięki swojej wojskowej obecności na oceanie światowym.

Wołają zatem głośno o pomoc do swojej „matki” – Stanów Zjednoczonych. Meteoryczny wzrost Chin oraz aspiracje globalnego Południa (czyli przede wszystkim państw wcześniej kolonizowanych przez zachodnie imperia) uzupełnia swoją polityką „dzikiej karty” w rozgrywce Rosja. Zacošana, ale pełna surowców i żywności, położona między Azją a Europą, Rosja chce być właśnie „dziką kartą” między Chinami a USA. To połączenie interesów geostrategicznych zdecydowało o buncie Eurazji wobec dominacji oceanu światowego.

Nie radząc sobie z rosnącą presją, dzieci geopolitycznego „morza” położone w Rimlandzie Eurazji wzywają swoją amerykańską „matkę” na pomoc, by ratować świat, który tak im znakomicie służył, bo mogli handlować i rozwijać się, korzystając z amerykańskiej ochrony. Dzięki tej ochronie mogli też bez końca perorować na temat „wartości”, pozostając w złudzeniu, że świat „się zmienił na lepsze” zgodnie z ich wolą.

Nie zmienił się ani na lepsze, ani na gorsze, zawsze taki był. System pozornie oparty na wartościach stał się niebyły i dysfunkcyjny, bo Amerykanom nie wystarcza siły na egzekwowanie swojego prymatu, a państwa rewizjonistyczne o prymacie USA już nie chcą słyszeć. W anarchicznym systemie międzynarodowym, w którym kwestionowany jest prymat hegemonu, dochodzi do tworzenia się nowych równowag w bolesnym procesie dostosowania, który objawia się rywalizacją i wojną. Europejscy liderzy nie chcą o tym słyszeć, nie umiając po kilku dekadach patronatu USA na nową epokę się przestawić.

Aktualne pokolenie polityków po prostu tego nie umie, myli wartości z interesami a politykę ze strategią. Stąd się bierze taka pogarda Putina wobec nich i wyrażane często przekonanie o niekompetencji elit europejskich.

Amerykanie natomiast rozumieją doskonale grę o równowagę, ale do tej pory znali przede wszystkim sytuację, w której w tej grze cieszyli się ogromną przewagą własną. Dziś mają zbyt wiele frontów: Europę, Pacyfik, teatry peryferyjne na Bliskim Wschodzie i na Morzu Czerwonym, gospodarkę, zadłużenie, kryzys amerykańskich miast itd. Amerykanie nie są w stanie być jednocześnie wszędzie i cierpliwie tłumaczą to Europejczykom, ale to budzi na Starym Kontynencie przerażenie. Europa sama nie ma sił niezbędnych do odstraszenia i nie może zwyczajnie uwierzyć w to, co się dzieje...

Przed Europą i Unią Europejską stoi jeszcze w tym roku test konsolidacji, który rozstrzygnie o przyszłości projektu unijnego, ale także o bezpieczeństwie i rozwoju Europy. A także o jej miejscu w świecie: samodzielnego podmiotu geopolitycznego, zależnej od USA części świata atlantyckiego czy zachodniej części nowego systemu handlowo-politycznego Eurazji.

Autor Jacek Bartosiak

Data 3/ 2024

S&F Hero

Więcej na: strategyandfuture.org